



MEANDER

ROK LXXVIII 2023: s. 207–223
ISSN 0025-6285
DOI: 10.24425/meander.2023.147946

MACIEJ SALAMON
ORCID: 0000-0001-6888-8315
e-mail: maciejsalamon@interia.pl
Instytut Historii, Uniwersytet Jagielloński

MAREK WILCZYŃSKI

ADRIAN SZOPA
ORCID: 0000-0001-7735-7145
e-mail: adrian.szopa@up.krakow.pl

Instytut Historii i Archiwistyki, Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

**„STARAŁEM SIĘ BYĆ PRACOWITY”. Z PROFESOREM MACIEJEM SALAMONEM O SZEROKOŚCI HORYZONTÓW BADAWCZYCH, LICZNYCH PODRÓŻACH ORAZ SPECYFICZNEJ METODZIE NAUCZANIA JĘZYKA ROSYJSKIEGO ROZMAWIAJĄ
MAREK WILCZYŃSKI I ADRIAN SZOPA***

“I TRIED TO WORK HARD”: ON BROAD SCHOLARLY INTERESTS, FREQUENT TRAVELS AND AN IDIOSYNCRATIC WAY OF TEACHING RUSSIAN

* Podstawą tego tekstu jest wywiad z prof. Maciejem Salamonom przeprowadzony przez Marka Wilczyńskiego i Adriana Szopę 26 kwietnia 2019 r. Rozmowa powstała w ramach cyklu „Rozmowy z Mistrzem” Ośrodka Dokumentacji Filmowej Nauki Polskiej Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie oraz Stowarzyszenia Historyków Starożytności. Nagranie jest dostępne w Archiwum Historii Mówionej: <http://stowarzyszeniehistorykowstarozytnosci.edu.pl/portfolio/maciej-salamon/>. Fotografie zamieszczone w artykule pochodzą z archiwum prywatnego, za ich udostępnienie dziękujemy pani Justynie Rosie – córce prof. Macieja Salamona.



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła. Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>

Streszczenie: Rozmowa z profesorem Maciejem Salamonem, historykiem, mediewistą i bizantynistą, znakomitym znawcą numizmatyki, o jego domu rodzinnym i studiach w Krakowie, karierze naukowej na Uniwersytecie Śląskim i Jagiellońskim oraz podróżach naukowych.

Słowa kluczowe: Maciej Salamon; bizantynistyka; numizmatyka; Uniwersytet Jagielloński; badania nad starożytnością w Polsce; Kraków

Summary: An interview with professor Maciej Salamon, a historian, medievalist, and Byzantinist, renowned expert in numismatics, about his childhood home and studies in Cracow, academic career at the University of Silesia and Jagiellonian University, as well as study trips.

Keywords: Maciej Salamon; Byzantine studies; numismatics; Jagiellonian University; Classics in Poland

Mamy dziś okazję porozmawiać z profesorem Maciejem Salamonem, wybitnym znawcą historii bizantyńskiej, późnoantycznej, antycznej, historii Rusi, Balkanów – trzeba przyznać, że objął Pan swoimi badaniami wiele dziedzin. Bardzo nam miło i dziękujemy za zgodę na udzielenie nam wywiadu.

Dziękuję. Czuję się zaszczycony.

Jak wyglądały wspomnienia Pana Profesora z lat dzieciństwa?

Najwcześniejsze lata znamy zwykle z opowieści naszych rodziców. Trudno mi powiedzieć, jak to wyglądało dokładnie w moim przypadku. Wiem skądinąd, że w roku 1946 zdarzyło mi się urodzić w Krakowie, i w tym mieście pozostałem do dziś dnia, z rzadka wyjeżdżając na jakieś dłuższe okresy. Z Krakowem jestem związany zarówno sentymentalnie, jak i pamięcią. Mniej może badaniami naukowymi, które są raczej ukierunkowane w stronę Wschodu i wcześniejszych epok. Mówiąc o związkach z Krakowem powinienem też wspomnieć, że moja rodzina wywodzi się z tego miasta. Dotyczy to jednak przede wszystkim części rodziny związanej z moją rodzicielką. Natomiast ojca nie poznałem. W roku 1946, chyba kilka dni lub tygodni przed moim urodzeniem, zginął, a jego losy, przyczyny śmierci, okoliczności właściwie nie są mi znane. Ten brak wiedzy na temat własnej historii ma też chyba pewien wpływ na moje szersze zainteresowanie historią, wychodzące od prób dociekania, jak to się działo, jaką rolę odgrywał ojciec. A więc moja historia obejmuje również okres przed moim pojawieniem się na świecie.

Z Bizancjum oczywiście tutaj wielkiego związku nie da się dostrzec, natomiast mój ojciec był w czasie niemalże całej II wojny światowej związany z obszarem pogranicznym pomiędzy Ukrainą i Polską, więc jest to już jakiś punkt pozwalający nawiązać do problematyki, która nas najczęściej interesuje, przynajmniej w tym gronie, w którym tutaj rozmawiamy, to jest historii Europy Wschodniej i Środkowej.

Wychowywałem się w dzielnicy Krakowa, która ma – można powiedzieć – pewne znaczenie historyczne. Mieszkałem mianowicie w rejonie, który można umieścić między Wisłą, dzielnicą czy też miastem Kazimierz a dzielnicą robotniczą Grzegórzki. Z historią średniowieczną czy starożytną ma to ograniczony związek, aczkolwiek jest to jednak

historyczna część miasta. Jestem do niej przywiązany i mam nadzieję, że kiedyś może będę w stanie dotrzeć do jakichś bardziej konkretnych informacji na temat tego, co tutaj działo się wcześniej. Niemniej, moim głównym zainteresowaniem jest historia krajów sąsiadujących z Polską od wschodu i od południa.

Mimo wszystko Kraków jest miastem historycznym i na pewno jakiś wpływ na rozwój zainteresowań miał. A czy były również jakieś zachęty ze strony mamy lub pozostałej rodziny? Może jakieś książki z dzieciństwa szczególnie utkwiły Panu w pamięci?

Książki oczywiście się pojawiły. To zresztą mój ulubiony partner we wszelkich rozważaniach, badaniach. Na pewno przyczyniły się do zainteresowań, ale one pojawiają się zwykle na nieco późniejszym etapie naszego rozwoju intelektualnego. Zainteresowania historią niewątpliwie w rodzinie istniały. To, co tutaj już wspominałem, rodzina ojca, również rodzina mojego dziadka, który był najważniejszym mężczyzną w rodzinie, to wszystko miało istotny wpływ na mój sposób myślenia i zainteresowania. Dziadek wziął udział w I wojnie światowej, w mniejszym stopniu w II. Wpływ na mój rozwój miały więc niekoniecznie książki, ale również opowieści, jakkolwiek oczywiście zawsze czytałem dużo i biblioteka w moim domu zajmuje więcej miejsca niż jego stali mieszkańcy.

Czy ma lub miał Pan Profesor rodzeństwo? Jak kształtowały się wasze stosunki?

Rodzeństwo niezbyt liczne, tylko jeden brat, ale w sytuacji rodzinnej, o której wspominałem, trudno się dziwić. Natomiast stosunki układały się źle. To był brat starszy ode mnie, narzucający swój punkt widzenia. Być może też w jakiś sposób wychowywał mnie, wskazywał braki. Nie żyje już od wielu lat.

A szkoła? Czy Profesor pamięta swoją szkołę podstawową? Może jakichś nauczycieli, którzy szczególnie wpłynęli na Pana?

Oczywiście, że ją pamiętam, choć, nawiasem mówiąc, nie chodziłem do szkoły podstawowej *sensu stricto*. To był akurat okres, kiedy stworzono takie szkoły łączące etap podstawowy i średni, tak zwane „jedenastolatki”. W takiej szkole byłem wychowywany. To był oczywiście system wzorowany na radzieckim. Nietrudno się domyślić, że te wzory w mojej szkole odgrywały pewną rolę, ale podobnie jak inni reprezentanci mojego pokolenia byliśmy nastawieni do nich z pewną rezerwą [sugestywny uśmiech]. Wspomnę może w tym miejscu taki szczegół odnoszący się do nauczycieli, którzy wprowadzali nas w tajniki języka rosyjskiego. Otóż to był bardzo ważny przedmiot. Nauczyciel języka rosyjskiego należał do najważniejszych osób w szkole i był też zaangażowany po odpowiedniej stronie politycznej. W jakimś stopniu miał on wpływ na moją osobę, jeśli jednak postawić pytanie, czy to przyczyniło się do mojego zainteresowania Wschodem, kulturą bizantyjską, kulturą ruską, to był to raczej wpływ negatywny. Jeden element techniki wychowawczej tegoż pana profesora utkwił mi bardzo w głowie. Mianowicie wyuczono mnie całkiem niezłe języka rosyjskiego. Polegało to na tym, że pan nauczyciel stawał nad uczniem i słuchając jego wypowiedzi, poprawiał rosyjski akcent. Robił to uderzając w głowę pierścieniem lub kluczem. Były to brutalne metody, które powinny mnie głęboko zniechęcić do zajmowania się krajami sąsiadującymi z nami od wschodu, ale tak się złożyło, że w mojej dzielnicy, w sąsiedztwie, mieszkała pewna rodzina, z którą byłem zaprzyjaźniony. Byli to bardzo kulturalni ludzie, wywodzący się z terenów wschodnich, dokładnie ze Lwowa, ale związani też z innymi obszarami naszych niegdyś wschodnich ziem. Podejście do tradycji wschodnioeuropejskiej, rosyjskiej, było u nich z gruntu od-

mienne, na pewno nie byli przychylnie nastawieni do panującego reżimu. Byli natomiast zainteresowani literaturą i tak się złożyło, że pewna pani filolog, która była matką mojego przyjaciela, za wszelką cenę chciała nas – a mówiąc ściślej, przede wszystkim swojego syna – wychować w przychylnym nastawieniu do kultury Wschodu czy Europy Wschodniej. On nie był entuzjastą tego pomysłu, wobec tego ja miałem być jednym z rekwizytów przydatnych do zainteresowania chłopaka tą tematyką. Dostarczano mi literaturę rosyjską, często jeszcze przedrewolucyjną, omawialiśmy ją. Oczywiście ten język rosyjski był zupełnie inny – nie był sztucznie wyuczonym i wspieranym przemocą elementem dydaktyki. Wręcz przeciwnie, mogłem się bardzo wiele nauczyć i w ten sposób, jak gdyby służąc za przynętę dla mojego przyjaciela, zainteresowałem się trwale tą tematyką. Mój kolega do końca nie dał się przekonać. Później został architektem, teraz już nie żyje.

Ja natomiast przekonać się dałem i kultura Wschodu europejskiego pozostawała i pozostaje dalej przedmiotem mojego zainteresowania. W szkole oczywiście mieliśmy też intensywnie działające harcerstwo, gdzie nawiązania do dawniejszej historii były rzeczą normalną, dobrze odbieraną i do tego dobrze podawaną. Szkoła zatem w jakiś sposób sprzyjała moim zainteresowaniom, chociaż postawy nauczycieli były bardzo różne. Nie brakowało takich, którzy pewne rzeczy chcieli nam narzucać siłą – o jednym już wspominałem, ale to było szersze zjawisko. Równocześnie większość nauczycieli to były osoby wychowywane przed wojną, więc wydaje mi się, że działała na mnie dość szeroka gama bodźców czy motywów, które prowadziły mnie w kierunku Wschodu. Do tego można również dodać nauczycieli zaangażowanych politycznie jeszcze przed wojną, ludzi, którzy też w jakiś sposób kształtowali nasz sposób myślenia. Z naszym udziałem, bez jakiejś większej przemocy, starano się nas ukierunkować na z jednej strony tradycje patriotyczne, a z drugiej właśnie przychylnie nastawienie do naszych sąsiadów.

Z tego wynika, że jako czytelnicy i odbiorcy licznych publikacji Pana Profesora powinniśmy być wdzięczni matce kolegi, która jednak nie tylko skłoniła do nauki języka, ale również do zainteresowania jego obszarem. Od razu tę wdzięczność wyrażamy. Było warto. Plon tych prac jest imponujący. Wyjaśnił już Pan Profesor, że trudno mówić o czasach licealnych i szkoły podstawowej – szkoła była jedna, jedenastoletnia. Czy okres przedmaturalny, kiedy człowiek staje się bardziej dojrzały, a który w Pana przypadku miał miejsce w trudnych realiach ekonomicznych, pozostawił jakieś ciekawe wspomnienia? I jeszcze korzystając z możliwości nawiązania do szkoły: z tego, co rozumiem, przedmioty szkolne miały dla wychowania mniejsze znaczenie niż harcerstwo i inne aktywności. Ale czy poza językiem rosyjskim jakiś inny przedmiot czy nauczyciel zapisał się szczególnie w Pana pamięci?

Oczywiście należałoby wymienić historię. Niewątpliwie wśród historyków miałem również preceptorów bardzo dobrze przygotowanych do swoich zadań i dzielających poglądy, które nie budziły u mnie specjalnego oporu. Spotykałem więc osoby czy to związane z sanacją, czy, powiedzmy, znające po prostu okres międzywojenny i podchodzące do niego w sposób krytyczny, ale też przychylny, nieujmujący wszelkich jego osiągnięć, co zresztą niekoniecznie było akceptowane przez władze szkolne. Moja najlepsza historyczka – nazywała się Bałaburzyńska – została właściwie w pewnym momencie pozbawiona prawa wykładania, a to z racji nazbyt odbiegających od oficjalnych poglądów tez, które referowała. Równocześnie wydaje mi się, że to mocno wpłynęło na pozytywny stosunek uczniów do

też pani i przyczyniło się – mimo lewicowej w przeważającej mierze obsady naszej kadry – do ukierunkowania mnie oraz przynajmniej części moich kolegów na zainteresowania czy polską tradycją, czy tradycją ziem sąsiadujących z Polską. Trudno to oczywiście prześledzić, dlatego że losy moich kolegów szkolnych niekoniecznie są mi dobrze znane. Jest jeszcze jeden czynnik, który odgrywał rolę – może nieco za dużo mówię tutaj o polityce, ale historia jest związana z polityką. Tym czynnikiem, który przyczynił się do naszego poznawania kultury rosyjskiej i języka rosyjskiego, było Radio Swoboda, którego słuchałem dość regularnie. Tam posługiwano się językiem rosyjskim w bardzo poprawny sposób. Jakkolwiek oczywiście punkt widzenia był troszkę odmienny od naszego, to uznaję te audycje za jeden z istotnych elementów mojej edukacji, która jednak coraz wyraźniej zmierzała w kierunku Wschodu. Nie było tam nawiasem mówiąc greki, ale to jest zrozumiałe, bo ta radiostacja była związana ze Stanami Zjednoczonymi, a nie z Grecją oczywiście.

À propos greki nasuwa mi się pytanie. To był okres, kiedy w Polsce byli Grecy. Czy miał Pan jakiegokolwiek kontakty z nimi i czy tutaj można mówić o jakiejś inspiracji?

Nie miało to żadnego wpływu na moje zainteresowania czy moje życie codzienne, chociaż rzeczywiście Grecy byli i zdarzało się, że miewaliśmy z nimi kontakty. Były one życzliwe, jakkolwiek było to zjawisko śladowe. Ale istotnie pamiętam, że pewne kontakty, nawet chyba mojej rodziny, z ludźmi stamtąd miały miejsce.

Przejdźmy teraz do okresu studiów. Zebrałiśmy nieco informacji i wiemy, że był Pan Profesorem dobrym studentem, wyróżnianym nagrodą rektorską *Primus inter pares*. Chętnie posłuchamy o czasie studiów. Jak Pan Profesor wspomina ten okres?

Oczywiście o *Primus inter pares* nie będę się rozwodził. To bardzo zaszczytny tytuł, jednak z drugiej strony było to dość standardowe wyróżnienie – po prostu tak nazwano pewien rodzaj stypendium. Jeżeli chodzi o te „trudne czasy”, o których pan wspominał, to jest to rzecz względna. Może dlatego, że byłem półsierotą. Co prawda moja mama pracowała, ale też nie zarabiała zbyt dużo. To miało pewne znaczenie. Z drugiej strony fakt, że nie miałem ojca, przyczynił się do tego, że stypendia otrzymywałem dość regularnie. Chyba nawet w szkole średniej byłem z tego powodu dofinansowywany. Z drugiej strony, w domu patrzono bardzo przychylnie na zajmowanie się historią, czytanie książek, a także gromadzenie książek. W gruncie rzeczy nie odczuwałem specjalnie negatywnie sytuacji ekonomicznej, która wówczas była w kraju i która zresztą była bardzo zmienna. W każdym razie studia odbywały się w miarę gładko, nie składały się wyłącznie z ciężkich i nieprzyjemnych obowiązków. Oprócz studiów byliśmy też zaangażowani w działalność koła naukowego, która zawierała pewne aspekty polityczne i jakkolwiek może nie wychodziły one na plan pierwszy, to jednak dla historyków nie była to sprawa pozbawiona znaczenia. Przypominam sobie w tym momencie, że w pewnym dramatycznych momentach, które przeżywała Polska i Kraków, koło naukowe podejmowało nawet pewne próby tworzenia źródeł, gromadzenia materiałów na temat wydarzeń. Niewątpliwie aktywność związana z kołem naukowym dla historyka była bardzo cenna. Myślę, że tak samo odbiera to większość naszych licznych przecież kolegów, którzy przeszli tę samą szkołę.

Mogę jedynie potwierdzić, że tak było, choć oczywiście moje doświadczenia dotyczą czasów późniejszych. Wspomniał Pan Profesor, że studia to nie tylko nauka, nie tylko zajęcia. Czy jakiejś wspomnienia z wydarzeń poza wykładami pozostały w pa-mięci?



Maciej Salamon na przełomie lat 60. i 70. jako egzaminator podczas olimpiady historycznej w Pszczynie

Oczywiście wydarzenia, które obejmowały cały kraj, nie tylko Kraków, nie tylko Uniwersytet Jagielloński. Demonstracje marcowe czy inne momenty, w których najczęściej uczestniczyliśmy, traktując to jako swój obowiązek – i trochę też jako doświadczenie polityczne. Kiedyś studenci pytali mnie, jak wyglądał udział w demonstracjach w '68 roku. Przypominałem sobie pewne techniki, które próbowałem stosować, nie tylko ja zresztą, żeby przetrwać, a równocześnie wziąć czynny i skuteczny udział... ach, czy skuteczny to jest pytanie, jak dalece można mówić o skuteczności... ale w każdym razie brać w tym udział i mieć pewną satysfakcję, że coś się w sferze politycznej działo, chociaż nasz wpływ był w gruncie rzeczy niewielki. Obserwacje jednak na pewno przydatne, szczególnie dla historyka.

Studia się skończyły i z imponującą prędkością pokonywał Pan kolejne etapy kariery naukowej. Obrona doktoratu w wieku 26 lat. Habilitacja w sześć lat później. Nasuwa się pytanie, jak to zrobić i skąd ten pośpiech.

Zastanawiam się właśnie, skąd ten pośpiech... [śmiech]. Staralem się być pracowity i realizować oczekiwania naszych mistrzów, a szczególnie naszego najbardziej chyba lubianego i najważniejszego mistrza, a mianowicie profesora Józefa Wolskiego, który miał pewną zaletę, nie powszechną i na pewno nie występującą u wszystkich profesorów. Uważał on, że jeśli się ktoś decyduje na pracę naukową, powinien podejmować ją, uprawiać intensywnie i postępować do przodu, a nie zatrzymywać się w jakimś miejscu. Nawiasem mówiąc, może to pozornie wygląda na pośpiech, ale miałem dłuższe okresy, kiedy nie tak wiele tworzyłem. Z drugiej strony rzeczywiście przychodziły momenty, kiedy pracowałem naukowo bardzo intensywnie. Profesor, łagodny skądinąd człowiek, o gołęmbim sercu, potrafił przypominać, że trzeba pisać, trzeba publikować. Zawsze trakto-



Z Józefem Wolskim (z prawej) na kongresie „Eirene” w Bułgarii w r. 1978

wał to jako rzecz niezwykle istotną. Myślę, że gdyby nie jego metody wychowawcze, toby wszystko nie działo się tak sprawnie.

Do tego trzeba dodać jeszcze jeden szczegół: stosunkowo wcześnie założyłem rodzinę i trzeba było myśleć o stabilizacji. W moim przypadku musiałyby ona oznaczać albo rezygnację z pracy naukowej, albo przeciwnie – intensyfikację pracy i dążenie do zajęcia jakiegoś stabilnego miejsca w świecie nauki. Profesor Wolski okazał się dla mnie bardzo ważną postacią. Tak się bowiem złożyło, że przez szereg lat jeździł na Śląsk, do Katowic, i tam wykładał historię starożytną w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Właściwie to nie dotrwał do powstania Uniwersytetu Śląskiego, ale wtedy, z jego wsparciem, pojawiłem się tam ja. To była konieczność, a z drugiej strony oczywiście upodobanie. W końcu praca naukowa to nie jest pańszczyzna, którą wykonuje się z konieczności, ale aktywność, która daje satysfakcję. Rola preceptora-profesora niewątpliwie była istotna – różnie to przecież wyglądało w różnych katedrach, nie wszędzie ludzie awansowali, nie wszędzie mieli szansę na to, żeby pisać i drukować – pisać można, ale drukować to nie była taka prosta sprawa. Pod tym względem znakomicie trafiłem. Jak już mówiłem, pewna konieczność również odegrała istotną rolę. Musiałem rozwinąć się naukowo na tyle, ażeby móc zapewnić stabilną pozycję nie tylko sobie, ale też rodzinie.

Akurat w tym okresie, kiedy kończyłem studia, powstał Uniwersytet Śląski, w którym pojawiło się stosunkowo dużo miejsc pracy dla uczonych, również humanistów, dzięki ludziom może w historii Polski niekoniecznie najlepiej odbieranym, ale jednak w jakiś sposób zasłużonym, szczególnie dla tamtego rejonu. Trzeba tu wspomnieć o roli Edwarda Gierka: gdyby nie jego zaangażowanie, prawdopodobnie Uniwersytet Śląski nigdy by nie powstał. Oczywiście profesor nie miał kontaktu z władzami partyjnymi. To była kwestia raczej miejscowych władz, które otrzymały odpowiednie sugestie, żeby rozwijać naukę, szukać ludzi, którzy mogliby wesprzeć humanistykę na Śląsku. To oznaczało równocześnie dla mnie dość ciekawą konfigurację kontaktów personalnych. Trochę też wpłynęło na moje zainteresowania.



Z córką na spływie Dunajcem, 1978 r.



W Krościenku, 1978 r.

W kierunku wschodniej części świata starożytnego spoglądałem jeszcze na seminarium profesora Wolskiego, a więc były to w jakiejś mierze moje osobiste zainteresowania. Nie bez znaczenia były również sugestie jego współpracowników. Przykładowo profesor Jerzy Linderski, który później wyemigrował i żyje w Stanach Zjednoczonych, człowiek o międzynarodowej pozycji. Właśnie jego orientacji zawdzięczam sugestię, że jeśli jestem stąd i jeśli jestem w stanie posługiwać się językami obcymi, to dobrą rzeczą byłoby zainteresowanie się bizantynistyką, ponieważ w tym czasie było to sprawą bardzo dobrze odbieraną w środowiskach intelektualnych. W moim przypadku to była też kwestia zaciekawienia naszym wschodnim sąsiadem, tą kulturą, z którą mieliśmy przecież przez wieki do czynienia.

Niektóre pozytywne impulsy wynikały z pewnej generalnej polityki, z pewnego układu, w którym funkcjonował Uniwersytet Śląski, a wskutek tego również ja. Mowa na przykład o kontaktach ze środowiskiem warszawskim. Co prawda, sprowadzono mnie z Krakowa, ale nadmierna intensywność kontaktów z Krakowem dla Uniwersytetu Śląskiego mogła robić wrażenie podejrzanej: po pierwsze, taki człowiek mógł sprawiać wrażenie, że nie czuje się związany z tym ośrodkiem, a po drugie, Kraków jednak trochę przytłaczał mniejszy i niedawno powstały ośrodek katowicki. W tym kontekście kontakty z Warszawą były postrzegane wręcz przeciwnie. Z Warszawy przybyło na Uniwersytet Śląski kilku ważnych profesorów. Jednym z nich był profesor Stefan Maria Kuczyński. Człowiek z Kresów, tych bardzo odległych, już gdzieś przy granicy Rosji, który przeżył rewolucję, przeniósł się do Krakowa, był uczniem Oskara Haleckiego, pracował w Warszawie. Dla niego Bizancjum to było coś cennego. Miał bardzo pravicowe poglądy, ale nie był podejrzany dla władz katowickich.

To był kolejny czynnik, który mnie kształtował: zainteresowania osób, które trafiły do Katowic, moich szefów. Wśród nich trzeba wymienić profesora Andrzeja Kunisza, który oczywiście od Kuczyńskiego był znacznie młodszy, ale też dość szybko awansował. Był numizmatykiem i był mocno związany z Krakowem, ale jego intensywne związki z Warszawą były bardzo dobrze odbierane. W tym okresie głównym ośrodkiem, w którym koncentrowały się badania numizmatyczne, była Warszawa, gdzie odbywały się regularne spotkania, na które – również dzięki Kuniszowi – jeździłem, poznając wybitnych polskich numizmatyków oraz niektórych historyków starożytnych, choćby panią profesor Ewę Wipszycką. To też przyczyniło się do ukształtowania mojej sylwetki jako badacza, jako osoby zainteresowanej historią powszechną, ale równocześnie mającą powiązanie z dziejami polskimi.

Pan Profesor uprzedził moje pytanie o inspiracje dotyczące Wschodu, opisując osoby, które na to wpłynęły. Profesor Wolski również interesował się Wschodem, ale okresem dużo wcześniejszym.

To istotna różnica, profesor Wolski interesował się Wschodem starożytnym i dla niego Bizancjum nie było specjalnie atrakcyjnie. Oczywiście kładł nacisk na to, żeby uczyć się języka greckiego, ale nie wymagał studiowania filologii klasycznej – co jednak niektórzy jego uczniowie realizowali, jak pani profesor Maria Dzielska. Została ona przez profesora Wolskiego polecona do Łodzi, bo tam bizantynistyka rozwijała się bardzo dobrze i można było też studiować ją od strony filologicznej, orientując się na grekę średniowieczną. To była tamtejsza specyfika. Aż tak wąskich wymagań w stosunku do mnie nie było, nato-

miast niewątpliwie grekę należało poznać, a kontakty z Łodzią były dobrze odbierane. Do tego Warszawa, gdzie akurat bizantynistyka rozwijała się znakomicie. Tam, ale to już w znacznie późniejszych czasach, poznałem jeszcze jedną osobę, kontakty z którą traktuję jako niezwykle ważne dla mnie, mianowicie profesora Andrzeja Poppego, rusycystę i historyka. Z profesorem poznałem się już w stosunkowo późnym okresie, odwiedzałem go, rozmawiałem i przy okazji trochę się uczyłem. Chociaż myślę, że profesor Poppe byłby nieco zdziwiony, gdyby się dowiedział, że mianuję go swoim mistrzem, niemniej jego przychylność i wiedza nie były bez wpływu dla mojej aktywności naukowej.

Praca na Uniwersytecie Śląskim to była pierwsza praca Pana Profesora na uniwersytecie?

Tak, to była moja pierwsza praca.

A jak Pan profesor wspomina stronę nie badawczą, ale dydaktyczną, czyli kontakty ze studentami, zajęcia – czy był Pan Profesor surowym wykładowcą?

Uważam, że nie potrafiłem być surowym wykładowcą, chociaż na pewno są studenci, którzy mają inne zdanie na ten temat. Wydaje mi się, że surowość, która by obezwładniała naszego ucznia, to coś bardzo niekorzystnego. Natomiast stosunki ze studentami w tym okresie to zupełnie inny i nie związany ściśle z nauką dział mojej aktywności. Rzecz w tym, że jak już zatrudniono człowieka niedługo po ukończeniu studiów, młodego, więc mającego lepszy kontakt z młodszymi ludźmi, pojawiła się idea, że uniwersytet w Katowicach powinien mieć swoje koło naukowe. Koło naukowe w Krakowie było dla mnie niezwykle istotne – to ważny element mojego życia. Byłem bardzo do niego przywiązany i wiele się tam nauczyłem, poznałem ciekawych ludzi. Wydaje się więc rzeczą zupełnie naturalną, że trafiając do Katowic, zebrałem grupę moich podopiecznych i ustaliliśmy, że tworzymy koło naukowe. Ścisła współpraca z nim trwała właściwie tylko kilka lat, ale było to doświadczenie dość intensywne. Co więcej, sądząc z rozmów z moimi byłymi kolegami i współpracownikami, nasza współpraca była całkiem dobrze odbierana.

Co ciekawe, zdarzali mi się tacy byli współpracownicy, którzy z jakimś moim udziałem uzyskiwali następnie stopnie naukowe, ale nie na tej zasadzie, że byłem promotorem. Pamiętam na przykład kolegę na uniwersytecie w Kielcach, którego rozpoznałem i z którym poznaliśmy się ponownie po latach. On w tym czasie już się habilitował, a ja uczestniczyłem w tej habilitacji. Współpraca z kołem naukowym była dla mnie ogromną przyjemnością i pewną lekcją dydaktyki, a właściwie wychowania młodszego pokolenia.

Ma Pan Profesor za sobą bardzo długą karierę naukową. Jakby mógł Pan zestawić najlepsze i najgorsze momenty: co najlepiej Pan Profesor wspomina, a co nieco gorzej?

Ja w gruncie rzeczy jestem dość optymistycznie nastawiony do życia, w związku z tym negatywnych momentów za wielu nie pamiętam. Oczywiście można by przypomnieć jakieś momenty trudne, jak choćby pewne przełomy polityczne, które przeżywało się na bieżąco, ale to nie wpływało specjalnie obciążająco na nasz sposób myślenia. Pogarszające się warunki, w których funkcjonowałem, wiążą się niestety z moimi sprawami osobistymi, tak że nie mogę powiedzieć, że przeszedłem przez życie triumfalnie. Wręcz przeciwnie, powiedziałbym, że trafiały się i trafiają okresy czy małej aktywności, czy dla mnie samego trudne. Ale w końcu życie musi się składać z różnych etapów.

W takim razie zapytam o inną formę aktywności, pewnie nierzadko związaną z pewnymi trudnościami, czyli działalność administracyjną na uczelni. Pan Profesor był dziekanem Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jak Pan Profesor wspomina ten okres w swojej karierze? Przypadł on ponownie na burzliwy okres polityczny.

Można powiedzieć, że tych skomplikowanych okresów politycznych było więcej. Generalnie rzecz biorąc, nie przygniatały mnie one w jakiś specjalny sposób. Nawet jeżeli były trudności, najczęściej traktowałem je po pierwsze jako przejściowe, a po drugie ułatwiały moją sytuację osoby, z którymi współpracowałem, które ceniłem i dzięki którym byłem w stanie przeżyć, i to nawet we w miarę pozytywnym nastroju. Wolałbym raczej koncentrować się na tych osobach czy instytucjach, które w pozytywny sposób wpłynęły na moje losy.

W tym kontekście przypomina mi się jeszcze jedna instytucja. Mówiłem o kole naukowym w Katowicach. W Krakowie moje związki z kołem naukowym w tym okresie, kiedy byłem pracownikiem naukowym, nie były już tak intensywne. Nie pamiętam już, jaki to ma chronologiczny stosunek do moich awansów na uczelni, ale to się chyba też trochę wiąże z dziekanatem – chodzi mi o fundację studentów „Bratniak”. Bardzo w moim przekonaniu cenna instytucja, która wiele dobrego uczyniła dla studentów. Studenci potrafili się sami zorganizować, a ja – mam nadzieję – nie przeszkadzałem im nadmiernie. Były momenty, kiedy trzeba było pomóc pewnym osobom we właściwy sposób ukierunkować aktywność, ale zasadniczo studenci, którzy byli zaangażowani w tę samorządową organizację, potrafili sobie sami poradzić z problemami. „Bratniak” wciąż funkcjonuje, choć może nie osiągnął wszystkiego, co planował, jeśli chodzi na przykład o budowanie kolejnych domów studenckich czy rozbudowywanie sportu studenckiego. O tym się mówiło, to było bardzo poważnie traktowane, ale nie zawsze wszystko się udaje i nie zawsze na wszystko są pieniądze. Tym niemniej „Bratniak” to też jest dla mnie doświadczenie istotne i podnoszące na duchu. Nie mogę powiedzieć, że nie pojawiały się tam również negatywne tendencje – mam nadzieję, że byłem w stanie troszkę pomóc przy wygładzaniu pojawiających się konfliktów. To jest jeden aspekt sprawy.

Drugi to oczywiście kontakty z pracownikami naukowymi i tymi ludźmi, z którymi jako pracownik zaangażowany w sprawy administracyjne w jakiś sposób musiałem współpracować. Jestem dumny z okresu współpracy z profesorem Władysławem Stróżewskim. Sam fakt, że byłem prodziekanem przy nim, jest dla mnie czymś bardzo nobilitującym. W tym miejscu trzeba też wspomnieć o mojej koleżance z zakładu, profesor Marii Dzielskiej. Założenie Zakładu Bizantynistyki było popierane przez profesora Wolskiego. On nie był bizantynistą, ale popierał dobry sposób uprawiania nauki, niekoniecznie konkretne osoby. Wydaje mi się, że ja i Maria Dzielska znajdowaliśmy wsparcie, i nasza współpraca jest niewątpliwie ważnym punktem w mojej działalności. Nie można pominąć przy tym również profesora Aleksandra Krawczuka. Mimo najróżniejszych odmienności w ich postawie, jego stosunku czy do Marii Dzielskiej, czy do mnie, do bizantynistyki, do sposobu uprawiania nauki czy współpracy ze studentami, profesor Krawczuk też ma tutaj swoje niewątpliwie zasługi. Trafiłem po prostu na ludzi, z którymi dało się współpracować. Takich, którzy pomogli i poradzi. Było ich tak wielu, że wymienienie wszystkich zasłużonych osób byłoby niemożliwe.



Z Aleksandrem Krawczukiem (w środku), 28 grudnia 2000 r.

Można by w takim razie powiedzieć, że miał Pan szczęście trafiając na tych ludzi, a oni pewnie byłiby zdania, że mieli szczęście współpracując z Panem.

Nie wiem, nie wiem. To może przesada [śmiech].

Ile Pan Profesor zna języków?

To jest pytanie, na które najczęściej nie udzielam odpowiedzi z bardzo prostego względu. Otóż znajomość języków jest zróżnicowana i wiąże się z tym, czy ten język zna się rzeczywiście precyzyjnie, czy też nie. Co więcej, znajomość języków – przynajmniej takie są moje doświadczenia – ulega ewolucji w czasie. W związku z tym może dziesięć, dwadzieścia lat temu wymieniłbym pewną listę, ale dzisiaj wiem, że nie byłoby to uzasadnione. Wydaje mi się, że jestem w stanie posługiwać się kilkoma językami, tak zwanymi kongresowymi, choć co do niektórych nie mam pewności, na przykład języka francuskiego. W okresie intensywniejszych kontaktów, licznych konferencji używałem francuskiego. Ta pani, u boku której poznawałem kulturę rosyjską, była romanistką, bardzo wymagającą, ale to były dawne lata, po których tego kontaktu było znacznie mniej.

Czasem znajomość języków wynikała z zupełnego przypadku – przykładem jest znajomość języka niemieckiego, którym jestem w stanie się w miarę sprawnie posługiwać. Zaczęła się ona bardzo wcześnie, jeszcze w szkole podstawowej. Moja rodzina była raczej niemieckojęzyczna, mój dziadek za młodu przebywał w Wiedniu, wobec tego język niemiecki uważano w domu za najważniejszy. Zapisano zatem mojego brata na język niemiecki, lecz stwierdził, że on się tego języka nie będzie uczył. Ponieważ lekcje były już opłacone, skierowano mnie. Miałem znakomitą nauczycielkę i jakoś do tego języka przywykłem. O rosyjskim już mówiłem. To są takie języki, z którymi miałem do czynienia w miarę często. Natomiast czas niestety jest nieubłagany.

Rozumiem oczywiście, że języki warsztatu to jest sprawa sama przez się zrozumiała. Wspominał Pan Profesor, że profesor Wolski nakłaniał do ich nauki.

Muszę tu od razu zaznaczyć, że byłem w tej dziedzinie samoukiem. Profesor to akceptował, ale równocześnie wymagał. Jednym z czynników, które dla niego przesądzały,

czy współpracować z człowiekiem, czy nie, było to, czy angażuje się w naukę języków klasycznych.

Pytanie o języki to wstęp do innego ciekawego zagadnienia. Języki łączą się z podróżami. Bardzo wiele Pan Profesor podróżował, nie tylko służbowo, ale i dla przyjemności. Myślę, że Bałkany nie mają dla Pana tajemnic. Jakie zakątki świata, te odwiedzone czy też te nieodwiedzone, są Panu szczególnie bliskie? Które wspomina Pan szczególnie?

No tak, tu się zgadzam, Bałkany, a szczególnie Bułgaria, są terenem, który wspominam bardzo mile. Miałem tam wielu przyjaciół, u których bywałem dosyć często. Muszę jednak zaznaczyć, że nie mogę nawet powiedzieć, że odwiedziłem wszystkie kraje bałkańskie. Bałkany są podzielone. W niektórych krajach byłem krótko, w niektórych bywałem dość regularnie. To zresztą wiązało się też ze współpracą uniwersytecką i stąd moje kontakty w jednym przypadku są już mniej trwałe, w innych się utrzymały mimo upływu lat. Poza Bałkanami, które tak wysoko cenię, niewątpliwie muszę też wspomnieć Rosję i kraje sąsiednie. Te kontakty zintensyfikowały się, kiedy podjąłem pracę na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie, na którym stworzono specjalizację zajmującą się Europą Wschodnią. Wykładałem tam to, co wiąże się ze Słowianami, a w szczególności Słowianami na Wschodzie. W związku z tym odbyłem sporo podróży, chociaż też oczywiście nie byłem w stanie wszędzie wyjechać.

Trochę jeździłem też po Bliskim Wschodzie i to znowu zasługa moich przyjaciół, z jednej strony związanych z naszym stowarzyszeniem bizantynistów, czyli Komisją Bizantynologiczną PTH, a równocześnie z Uniwersytetem Jana Pawła II, gdzie poznałem osoby z wykształceniem orientalistycznym, co ogromnie ułatwiało kontakty. To rzeczywiście tereny dość istotne. Miałem również kontakty z krajami Europy Zachodniej, choć ich charakter był bardziej profesjonalny, bo nigdy się nie specjalizowałem w historii tamtych terenów, natomiast znalazłem tam kilku partnerów, przyjaciół, w dziedzinie uprawiania nauki, a nie w dziedzinie zajmowania się historią danego kraju. Dzięki temu zdarzyło mi się nawet przez krótki czas wykładać na jednym z uniwersytetów niemieckich, a poza tym te kontakty w jakiejś mierze się utrzymały. Również kontakty z Grecją, które miały podobną genezę i charakter jak kontakty z rejonem krajów niemieckojęzycznych. Z upływem czasu i z powodu różnych innych trudności te kontakty słabną, ale przykładowo nie tak dawno zostałem ogromnie uradowany: otrzymałem ku mojemu zaskoczeniu książkę, historię Bizancjum, gdzie występuję jako jeden z autorów. To jest oczywiście tylko jakiś epizod, ale dla podtrzymania tych, co nieco już słabnących, kontaktów ze światem dla mnie sprawa istotna.

Na pewno dużą rolę i w podróżowaniu, i w nawiązywaniu kontaktów odgrywały kongresy bizantynologiczne, w których Pan Profesor uczestniczył. Czy ma Pan wspomnienia związane z tymi wydarzeniami?

Rzeczywiście uczestniczyłem w kilku kongresach – na terenie Bałkanów i Europy Zachodniej. Te kontakty miały zupełnie oczywisty walor: pozwalały zetknąć się z uczonymi z innych krajów, posłuchać ciekawych wykładów, nawiązać kontakty czy dbać o ich kontynuację. Ważną rolę odgrywały też wyjazdy stypendialne, które bardzo sobie ceniłem. W szczególności wyjazd do Anglii, a dokładnie Londynu, gdzie miałem możliwość przez pewien czas prowadzić badania w British Museum. Miałem również możliwość kontaktu

z pracującym tam zespołem, który w dziedzinie numizmatyki późnego antyku i Bizancjum jest niewątpliwie w czołówce światowej. To na pewno bardzo istotne.

Kontakty związane z kongresami, powiązane z dyskusjami, poznawaniem nowych trendów, które referowano w czasie takich pobytów, zwierzaniem przyjaźni były bardzo ciekawe, ale w gruncie rzeczy to właśnie takie dłuższe wyjazdy, czy do Londynu, czy podobny w charakterze – do Wiednia, były dla mojej pracy naukowej niezwykle ważne. Mam nadzieję, że kanały służące tego rodzaju kontaktom utrzymają się. Dla nauki polskiej jest to kwestia niezwykle istotna. Ważną rolę pełni Fundacja Lanckorońskich, która funduje wyjazdy zbliżające polskich uczonych do najważniejszych ośrodków na świecie i daje możliwość finalizowania przynajmniej pewnych prac badawczych.

Wymienił Pan już niektóre osoby, które odegrały znaczącą rolę w karierze naukowej, jak również w życiu osobistym. Mieliśmy wielu wybitnych bizantynistów: profesor Oktawiusz Jurewicz, pani profesor Maria Dzielska, profesor Waldemar Ceran. Stworzyli oni pewne środowisko intelektualne, a równocześnie pewną grupę połączoną przyjaźnią i pasją. Czy mógłby Pan Profesor coś na ten temat powiedzieć?

Niewątpliwie bez istnienia takiej grupy i kontaktów z ludźmi, którzy do niej należeli, trudno byłoby i wchodzić w to środowisko, i nauczyć się bardzo wielu rzeczy. Choćby pani profesor Halina Evert-Kappesowa, która współtworzyła polską bizantynistykę, była zawsze dobrze nastawiona do innych ośrodków, między innymi do naszego, krakowskiego. Można by powiedzieć, że to nawet trochę dziwne. Łódź odgrywa rolę jakby stolicy polskiej bizantynistyki i wobec tego zdawałoby się, że należałoby tych młodych, którzy trafiają się, trzymać krótko, tymczasem tutaj pełne otwarcie, przychylność, ułatwianie również kontaktów międzynarodowych – to na pewno odgrywało istotną rolę. W odróżnieniu od Marysi Dzielskiej nie miałem zbyt wielu kontaktów z panią profesor Kappesową na polu dydaktyki uniwersyteckiej. Marysia jeździła tam przez pewien czas i uczyła się średniowiecznej greki, natomiast ja byłem traktowany bardzo mile, ale na zajęcia tego typu nie jeździłem.

Profesor Jurewicz – bardzo kulturalna, przychylna osoba. Pamiętam go jak najlepiej, ale nie miałem z nim nadmiernie dużo bezpośrednich kontaktów. Na pewno sprzyjał mi, na pewno doradzał w pewnych momentach, ale gdybym miał wyróżnić kogoś w Warszawie, komu szczególnie dużo zawdzięczam, to raczej panią profesor Ewę Wipszycką, z którą kontakty były częstsze niż z profesorem Jurewiczem. Była, jak wiadomo, i jest osobą, która chętnie pomaga, ale też chętnie naprowadza na właściwe tory. Wychowuje kolejne pokolenia polskich bizantynistów i można powiedzieć, że tym, co nas łączyło, była również wspólna praca nad niektórymi młodymi ludźmi, na polu której niewątpliwie ona mogła najwięcej uczynić. Ja mogłem się oczywiście dołączać, ale jej doświadczenie, jej wiedza – to jest coś niezwykle istotnego. Tak się złożyło, że w pewnym momencie kazano mi napisać coś w rodzaju naukowego życiorysu pani profesor z okazji jej jubileuszu i jakkolwiek oczywiście czytałem jej książki i miałem okazję się z nimi stykać przez lata, w związku z tym zadaniem przeczytałem je jeszcze raz i uświadomiłem sobie, jak ważną rolę odgrywała, kształtując poziom polskiej historii starożytnej – właściwie bizantynistyki też, ale pani profesor sama siebie uważa za historyka starożytnego. Zarówno chwalać, jak i krytykując, doradzając.

Muszę wspomnieć tutaj również profesora Jerzego Kolendo. Profesor Stanisław Suchodolski to też ważna dla mnie osoba. Przewodniczył naszym posiedzeniom numizma-

tycznym. Też więc w pewnym sensie mistrz. Może nieformalny, ale w każdym razie człowiek, od którego wiele się nauczyłem.

Wspominał Pan o numizmatyce. Wiadomo, że to Pana druga wielka pasja naukowa. Dlaczego numizmatyka ma tak wyjątkowe miejsce w Pana badaniach?

Początek był znowu bardzo prozaiczny. W Katowicach moim zwierzchnikiem – nie formalnym, bo nie był kierownikiem zakładu, ale rzeczywistym – był profesor Kunisz. Doszedłem więc do wniosku, że byłoby dziwne, gdybym nie skorzystał z okazji nauczania się czegoś przy nim. Myślę, że on też byłby zdziwiony, gdyby jego współpracownik unikał tej tematyki. Wcześniej we współpracy z profesorem Wolskim zajmowałem się sprawami czysto historycznymi oraz ideologią starożytnych. Natomiast jeśli chodzi o numizmatykę, Kunisz był dla mnie preceptorem. Dzięki jego zaangażowaniu i w środowisku krakowskim numizmatyków, i w środowisku warszawskim miałem możliwość uczestniczyć zarówno w posiedzeniach naszych polskich, jak też w jakiejś mierze międzynarodowych sympozjach. Nie ulega więc wątpliwości, że skierowanie myśli na pole numizmatyki wiązało się z zainteresowaniami profesora Kunisza, przy czym ja je trochę zwekslowałem na obszar ideologiczny, czyli interpretację monet jako pewnego medium przekazującego treści ideologiczne. Kunisz bardzo dobrze to rozumiał, popierał i był pomocny, chociaż nasze tematy badawcze były z gruntu odmienne. Byliśmy jednak razem w Katowicach, dostarczał mi literaturę, podsuwał mi pewne pomysły, krytycznie odnosił się do pewnych tez – dzięki temu nie byłem osamotniony.

Z wypowiedzi Pana Profesora widać, jak ważna jest relacja mistrz-uczeń. Obecnie ta relacja zdaje się troszeczkę słabnąć – czy podziela Pan ten pogląd?

Trudno mi powiedzieć. Nie chciałbym tutaj zresztą oceniać obecnego pokolenia mistrzów. Ja akurat mam trochę uczniów. Moim nieszczęściem jest to, że trudno dla tych uczniów znaleźć zatrudnienie. Uczelni mamy stosunkowo dużo w tej chwili, lecz osoby naprawdę wybijające się, znakomite, muszą albo długo czekać, albo nie mogą się w ogóle doczekać, aby podjąć pracę naukową. Niemniej powiedziałbym, że całkiem niezłe się bawiłem na seminariach, które miałem okazję realizować. Przez „bawienie się” rozumiem coś bardzo pozytywnego, to znaczy takie przychylne i prowadzące do czegoś odbywanie wspólnych posiedzeń. Nie wiem, jak to będzie wyglądało, zresztą przecież szkolnictwo wyższe się przekształca, więc być może to się zmieni.

Uważam, że tego rodzaju seminaria właściwie nie powinny się odbywać w kręgu ograniczającym się do profesora i paru uczniów. Lepszą sytuacją jest chyba, jeśli tworzy się liczniejsze seminaria, gdzie przychodzą ludzie o różnych zainteresowaniach i tworzą takie grupy jak przykładowo środowisko numizmatyczne w Warszawie.

Elementem tej bardzo ważnej relacji mistrz-uczeń jest też branie przykładu z mistrza, toteż ja mam wielką prośbę, żeby Pan Profesor przy okazji odpowiedzi na kolejne pytanie zrezygnował z charakteryzującej go głębokiej skromności i odpowiedział: co jest w Pana warsztacie naukowym silną stroną? Co by Pan zalecił przyszłym uczniom bazując na własnym doświadczeniu?

Tutaj odpowiedź jest trudna. Jestem gotów podkreślać nie tylko te pozytywne strony. Na przykład wymagania, które niekoniecznie zbiegają się z zainteresowaniem ucznia, które może należałoby realizować poprzez szersze grono uczonych współpracujących. Mówiłem już o tych gremiach, które wspólnie wychowują młodych uczonych. To jest

chyba optymalny system. Niekoniecznie stawianie na jednego mistrza w takim bardzo tradycyjnym sensie.

Jest bardzo wielu naukowców, którzy w czasie życia zawodowego, aktywnego, obiecują sobie, że na emeryturze będą mieli morze wolnego czasu i będą mogli wtedy skupić się na innych zainteresowaniach. Przeczytają nieprzeczytane książki, zrealizują niezrealizowane plany. Czy Pan Profesor, choć jeszcze nie w pełni cieszący się emeryturą, bo wciąż jeszcze czynny zawodowo, rzeczywiście uważa, że to ma być taki okres odpoczynku po latach pracy? Czy ma Pan profesor jakieś plany z tym związane?

Plany w sensie zastanawiania się nad tym, co należałoby w kolejności jeszcze wykonać. Oczywiście listę ewentualnych tematów do opracowania jest dość łatwo sporządzić, natomiast jestem realistą. Jestem świadomy tego, że – choćby biorąc pod uwagę mój wiek, mój stan zdrowia – na pewno nie zrealizuję wszystkiego, co chciałbym. Cóż, ten pesymistyczny w gruncie rzeczy osąd trudno w tym momencie zweryfikować. To robi rzeczywistość. Trzeba jeszcze dodać zmieniające się upodobania. Pojawiają się jakieś nowe tematy, które mnie wciągają i powodują, że niestety tracę czas na jedne zagadnienia, a inne odkładam na dalszą przyszłość, a ta ma przecież swoje granice. Jestem tutaj niestety pesymistą.

Kolejne pytanie dotyczy raczej ćwiczeń ciała niż ducha. Pan Profesor jest człowiekiem energicznym. Czy w życiu Pana Profesora jakąś rolę ogrywał sport?

Nie uprawiałem chyba żadnego sportu – pomijam tutaj okresy dziecińne, jeżdżenie na łyżwach i tym podobne, ale to nie był sport *sensu stricto*. Sport uprawiany w sposób intensywny, jeśli można to nazwać sportem, to jest turystyka, którą uprawiałem chyba od szkoły średniej. To trochę wynikało też z sytuacji rodzinnej. Miałem akurat wujka, który był moim preceptorem w tym zakresie, i to przez lata całe towarzyszyło mi jako pewna odskocznia od ślęczenia nad książkami i stopniowego psucia wzroku.

Jakie rady Pan Profesor, jako doświadczony naukowiec, przekazałby młodym adeptom historii, którzy dziś stoją na początku swojej drogi, a chcieliby, podobnie jak Pan Profesor, podążyć taką ścieżką i poświęcić się badaniom?

Muszę tutaj zaprzeczyć samemu sobie. Przed chwilą powiedziałem, że jestem świadomy tego, że nie da się zrealizować wszystkiego, co się zaplanuje – jednak należy do tego dążyć. Należy pewne rzeczy zaplanować, przemyśleć, wybrać to, co będzie spotykało się z zainteresowaniem, będzie pożyteczne, będzie przynosiło jakieś efekty. Przykładów tego typu uczonych nie brakuje. Marysia Dzielska, która nas przedwcześnie opuściła, była właśnie taką osobą; potrafiła pewne rzeczy zaplanować, zrealizować bardzo precyzyjnie i z pełnym aplauzem ze strony innych uczonych. Pani profesor Ewa Wipszycka to też przykład osoby, która realizowała wszystko w sposób bardzo planowy, systematyczny. Mogę tylko zachęcać do tego, żeby brać wzór z tych uczonych, natomiast sam muszę się uderzyć w pierś: moja działalność miała zbyt często charakter chaotyczny i przypadkowy – po prostu za dużo mnie interesowało i to chyba nie jest najlepsza przesłanka do tworzenia sobie jakiegos programu badań.

Bardzo dziękujemy za rozmowę. Mamy nadzieję, że wbrew pesymistycznym prognozom jednak uda się Panu zrealizować trochę różnorodnych pasji.

Trochę na to liczę, chociaż rzeczywistość pokaże.



W Gdańsku, 1988 r.

Argumentum

Matthias Salamon, professor Universitatis Iagellonicae in studiis antiquitatis et medii aevi excellens, praecipue autem rerum gestarum Byzantinarum atque nummorum scrutandorum peritus, loquitur hic de sua vita et studiis cum Hadriano Szopa et nuper mortuo Marco Wilczyński.